ZDROJ WIELKOPOLSKIE

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE

ROK IV | POZNAŃ MAJ 1934 | NR. 5 (32)

Wydawca: ANDRZEJ PRĄDZYŃSKI | Redaktor: MARJAN TURWID

DWÓR W GOŚCIERADZU

Zatrzymaliśmy się u rozstajnych dróg. Gdzieś między Bydgoszczą a Koronowem. Samochód stanął zupełnie bezradny. Chwilę jeszcze warczał zirytowany, aż umilkł zauważywszy, ukrytą skromnie między drzewami, ubogą Bożą mękę. Trzy drogi mamy do wyboru. Jedna z nich wbiega między szpaler wyniosłych sosen. Szpaler ciągnący się daleko, aż ponoć ku puszczy Tucholskiej. Druga spływa miękko,łagodnie na błękitniejące w dali dno nadbrdziańskiej doliny. Trzecia, niezdecydowanie pokręciwszy się po równem polu, wpada potem prosto w stłoczony tłum krzewów i drzew.

— Któraż z dróg prowadzi do Gościeradza? — pytamy nadeszłego w międzyczasie przechodnia.

— Do Gościeradza . . . — powtarza przechodzień niepewnie i z namysłem.

— A tak, do Gościeradza. Do dworu profesora Wyczółkowskiego, — dodajemy dla wyjaśnienia.

— Twarz zapytanego rozjaśnia się. Teraz już wie. — Do pana Wyczółkowskiego każdy drogę wskaże. — I nasz informator uprzejmie wskazuje najgorszą z dróg.

Najgorszą — nienajgorszą. To tylko szofer pomrukuje z niezadowolenia. Bo droga jest w istocie urocza. Kręta, nierówna, złocąca się głęboko werżniętemi koleinami piachu. Ot, taka szczerze wiejska droga.

Samochód ryknął żałośnie i brnąc w piasku kołysać się począł jak kuter na nierównej fali. Mimo to, tłum drzew stłoczony w zagajnik, rośnie nieustannie w naszych, wpatrzonych weń, oczach. Rośnie, wyraźnieje, rozdziela się i przeistacza w duży, bogaty park. Zanurzamy się w jego głąb i niespodziewanie stajemy przed małym, bardzo czystym i ogromnie miłym dworkiem.

Pani domu pilnie pracuje w ogródku przed gankiem. Choć zaskoczona niezapowiedzianą wizytą, przecież nie gniewa się na niespodziewanych gości wcale za to, że jej przeszkodzili w robocie. Kłopoce się tylko wielce tem, że to i nie ubrana do gości i czy mąż, coś niezdrów od kilku dni, będzię mógł do nas wyjść.



Leon Wyczółkowski — *„Lipa" (tusz)*

Kazał nas jednak prosić i nie czekaliśmy nań zbyt długo. Mieliśmy przecież tyle czasu, by móc rozejrzeć się nieco po gościeradzkiej pracowni. Skromna jest pracownia wielkiego. artysty. Jakiś stolik, fotel, — na sztalugach rozpoczęta codopiero praca. A na ścianie barwny drzeworyt japoński. Ostatni z wspaniałej kolekcji.

Ten drzeworyt przypomina tak wiele. Te wszystkie lata, przez które Wyczółkowski, z pasją najzawziętszego zbieracza, za cenę swych szczupłych zasobów pieniężnych i wzamiam za swe dzieła dochodził do swej imponującej kolekcji. Składały się na nią cuda. A więc: cenny zbiór dywanów, tkanin i modlitewników. Kilimy anatolskie i kaukaskie. Stare aksamity włoskie i jedwabne tkaniny japońskie. Szale perskie, bagdadzkie i francuskie. Makaty i kilimy polskie.

Zawierała dalej ta kolekcja zbiór starej ceramiki azjatyckiej i europejskiej. Więc wazony i misy perskie i chińskie. Zawierała cenne szkła kryształowe. Osobną pozycję stanowiły wartościowe meble zabytkowe.

Wśród dzieł sztuki trafiały się pierwszorzędne płótna. Michałowskiego, Pankiewicza... Uzupełniała kolekcję grafika. Wybrane okazy czarno-białej sztuki europejskiej, a nadto prace takich majstrów japońskich jak: Hiroshige i Hokousai. Ten ostatni reprezentowany był aż trzydziestoma sześcioma widokami świętej Fudżi.

Z podziwu godną wytrwałością kompletował Wyczółkowski, przez lata całe, swój cenny zbiór. Z podziwu godną ofiarnością, Wyczółkowski, któregoś dnia, lat temu dwanaście pozbył się swoich umiłowanych skarbów.

Z królewskim iście gestem oddał wszystko co zebrał Muzeum Wielkopolskiemu w Poznaniu.

Społeczeństwo wielkopolskie doceniło należycie niezwykłą ofiarę wielkiego artysty. Aby zaś związać Wyczółkowskiego na stałe z regjonem wielkopolskim, poznański Wydział Krajowy ofiarował mu kawał ziemi w Gościeradzu. Ten kawał ziemi, to resztówka z dworkiem i parkiem. Z parkiem pełnym pięknych, starych drzew. Pełnym najulubieńszych obecnie modeli artysty.

I oto — dzięki czemu, tu — między Wielkopolską i Pomorzem, odkryliśmy pracownię laureata Pierwszej Polskiej Nagrody Plastycznej.

Sąd konkursowy, przyznając nagrodę Leonowi Wyczółkowskiemu, swój najsłuszniejszy wyrok uzasadnił następującem oświadczeniem:

„...Hołd powinny należy się sędziwemu artyście za najwyższy poziom artystyczny jego dzieł, niesłabnący do dnia dzisiejszego, oraz za olbrzymi dorobek twórczy...“

Otwarły się drzwi pracowni. Sędziwy artysta stanął wśród nas. Sędziwy? — Uwierzyć trudno, by ten wyniosły, wyprostowany starzec dźwigać już miał na swym grzbiecie ciężar osiemdziesięciu-dwu lat. Stoi przed nami jeszcze wyższy wśród niskich ścian gościeradzkiego dworu. Czujnie zmrużone oczy obserwują nas życzliwie po przez grube ściany szkieł. Znamy dobrze i to spojrzenie bystre i przenikliwe, i całą twarz modelowaną wyraziście i ostro. Jest zupełnie taka jak na autoportretach. Gładkie, bez zmarszczek czoło, wybitnie zaakcentowany łuk nosa, a zwłaszcza charakterystycznie wysoko osadzone, mocno się uwypuklające kości policzkowe. —

Twarz kształtowana wyraziście i szorstko znamionuje rzekłbyś surowość i nieugiętość charakteru. Ale wargi, choć wąskie, mówią zgoła o czem innem. Często i chętnie układają się w miękką i dobrotliwą linję. W takich chwilach szpary oczu rozszerzają się i odkrywają dobre i ufnie patrzące źrenice. Błękitne, łagodne źrenice dziecka.

Teraz wiemy gdzie szukać nam trzeba tajemnicy niezwykłej młodzieńczości sędziwego malarza i zadziwiającej świeżości jego prac. Oczywiście znakomity mistrz jest, jak zresztą zawsze, mocno niezadowolony z tych swoich ostatnich prac. Pokazuje nam cykl swoich pejzaży gościeradzkich. Wykonał je kredką, i tak, że na pierwszy rzut oka robią wrażenie starych sztychów angielskich. Ekonomja środków plastycznych jest tu doprowadzona do najdalszych dopuszczalnych granic. Ta ekonomja faktury przedziwnie pokrywa się jednak ze skromnością motywu. Krajobraz wielkopolski jest skromny aż do ubóstwa. I nieomal nieodmiennie ten sam: — „Równina nakryta niskim kloszem nieba“. — Tusculum Wyczółkowskiego wznosi się wśród równin monotonnych i cichych. Iluż twórców minęło te pola i łąki nie zauważywszy ich nawet. Nawet do artystów z wielkopolskiego regjonu się wywodzących, nie przemówił zupełnie krajobraz Wielkich Dolin. Dopiero Wyczółkowski odkrywać począł piękno Wielkopolski, tak jak przed laty odkrył ukraińskich rybaków, jak niedawno, pierwszy pokazał nam skarby Puszczy Tucholskiej.

Puszcza Tucholska, — — na dźwięk tego słowa rozjaśniają się błękitne oczy malarza. Nie nazbyt daleko od Gościeradza zaczynają się lasy prowadzące w głąb świętych gajów pomorskich borów. Stary mistrz nieraz wędrował ich szlakiem. I docierał do takich ostępów puszczy, takie widział knieje i takie rysował drzewa, że słów mu nie staje na wyrażenie zachwytu. Nie trzeba zresztą słów komuś, kto tyle wyraził kredą, ołówkiem czy tuszem.

Bo nikt tak jak Wyczółkowski nie zobaczył dotąd i nie odtworzył drzew. Te sosny, lipy, cisy i grusze, to nie z grubsza w swym charakterze zaledwie zaznaczone typy drzew. — Wyczółkowski każde drzewo traktuje indywidualnie. Rzec możnaby, że wykonuje jego portret. Portet ten jednak, acz niezmiernie „podobny“, niema nic wspólnego z bezdusznem przepisywaniem z natury. Wyczółkowski w sposób niezwykle subtelny, nieomal niedostrzegalny, interpretuje niesłychanie ściśle zaobserwowaną rzeczywistość. A jest w tej interpretacji coś więcej ponad mistrzowską zdolność „wybierania“ i „opuszczania“, — ponad umiejętność segregowania rozrzutnie przez naturę rozsypanych form. Jest bezsprzecznie w dziełach Wyczółkowskiego głęboki a bardzo polski sentyment. Jest, — choć malarz zamaskowuje go pozornym chłodem ścisłej, objektywnej obserwacji, choć skrywa go starannie pod malarskie walory prac. Zapytany o to, który z wielkich plastyków polskich jest mu najbliższy, odpowiedział mi sędziwy mistrz:

— Chełmoński.

I dodał zaraz:

— Chełmoński — to bezsprzecznie największy polski malarz.

A więc aż tam, — aż u źródeł polskiego romantyzmu w plastyce doszukać się trzeba genezy założenia twórczego mistrza „Wyczóła“. A dokąd sięga wobec tego drugi biegun plastycznego credo?

Sięga dalej, niż się to nawet powszechnie mniema. Na pytanie, — jak daleko? — niech nam odpowie najdosadniej charakterystyczna opinja laureata Państwowej Nagrody Plastycznej. Przyznaną mu nagrodą Wyczółkowski nie ucieszył się wcale. Naodwrót, — zmartwił się nawet.

— Dlaczego? — zapytałem zdumiony.

— Bo nagroda nie należała mi się zupełnie.

— A komuż w takim razie?

Odparł bez namysłu Wyczółkowski:

— Nagroda należała się przedewszystkiem — Pankiewiczowi.

Od Chełmońskiego do Pankiewicza, jakaż ogromna rozpiętość skali. Imponujący jest ten szeroki zasięg spojrzenia. Sędziwy wiek zupełnie nie przytępił wzroku.

Wyczółkowski twórczością swą wciąż wiąże ideały artystycznego „wczoraj“ z postulatami plastyki dzisiejszej. Wiąże, — choć nie goni zupełnie za uchwyceniem aktualnego konwencjonału piękna. Z wyżyn swego osiemdziesięciodwulecia widział on już nieraz, jak różnorodnie, co kilka lat, bywa formułowany ten konwencjonał. Przeżył niejedną batalję artystyczną. Przeżył, choć sam nigdy nie stawał na barykadach artystycznych rewolucyj, choć nie zabierał głosu na wiecach teoretycznych dociekań i gorących dyskusyj. Wyczółkowski nie miał czasu na teoretyzowanie. Nie miał również czasu na dłuższą działalność pedagogiczną. Zanadto absorbował go jego warsztat. Nierad opuszczał go choćby na chwilę.

Ten swój warsztat wielki mistrz przenosi nieustannie z miejsca na miejsce. Jest u siebie w swej pracowni, wszystko jedno, czy wśród stepów ukraińskich, czy w kniejach Tucholskiej Puszczy. Zawsze tak samo, czy przed pół wiekiem, czy dziś, wpatrzony w cud rzeczywistości, zachwycony nim i — opowiadający o nim z zapałem, a przecież starannie wybranem, i trafnie użytem słowem plastycznem. I oto, w czem leży jeszcze tajemnica niesłychanej świeżości i młodzieńczości sędziwego mistrza. Służy ideałom nieprzeżywającym się nigdy i głosi je szczerze i z tą prostotą, na którą zdobywają się tylko talenty największe.

Ta sama prostota i bezpośredniość, która jest najważniejszą cechą Wyczółkowskiego - twórcy, — ta sama prostota i skromność cechuje Wyczółkowskiego - człowieka. Kiedy mnie znakomity mistrz oprowadzał po swojej gościeradzkiej pracowni, i kiedy z miłością mówił o swoich

modelach, o bukach dostojnych i starych, świerkach rozłożystych i sosnach wyniosłych i smukłych, postawiłem mu pytanie:

— A które z tych licznych drzew jest panu profesorowi najmilsze? —

— Sosna — odpowiedział bez wahania Wyczółkowski.

— Sosna? —

— Tak, — bo jest wyniosła i — skromna. —

Kojarzą się wyobrażenia. Patrzę— to na sosnę wyniosłą i skromną, to na kroczącego przedemną wyniosłego a tak skromnego starca. Tacy są do siebie podobni. Tacy oboje piękni.

W tłumie drzew gościeradzkiego parku, sosna, wyrasta wysoko ponad rozłożystość dębów, ponad wspaniałe korony świerków, ponad bujną fantastyczność kształtu wszystkich innych drzew. Tak samo, ten wyniosły jak sosna wielki mistrz, wyrasta koroną swej tyloletniej pracy twórczej ponad tłum cały naszych współczesnych plastyków.

Opuszczając gościeradzką pracownię i żegnając dostojnego starca, pochyliliśmy z głęboką czcią głowy w hołdzie przed człowiekiem, który sztuce polskiej tyle przysporzył skarbów. Na odjezdnem skierowaliśmy jeszcze raz spojrzenie na gościeradzki park. Ujrzeliśmy tłum drzew stopiony półmrokiem wieczoru. Jedna tylka korona sosny wynosiła się wyraźnie ponad najwyższe czuby. I ona jedna tylko stała w słońcu.

Marjan Turwid.

FLORJAN JERNAS:

BALLADA O ZATRUTYCH MOTYLACH

Przykłuty szpilkami do pudełka
Rój barwnych motyli się rozełkał!...

Skarżyły się motyle
Na wieczną mękę konania:

Żyjemy,
Chociaż byliśmy kąpani
w eterze,
A szpilki
Utknięte w odwłokach
Nad skrzydeł tęczą —
Nas męczą!...

Ach zlituj się chłopczyku!
Daj nam po jednym.
Smiertelnym zastrzyku —
Daruj nam mękę
rozdartą na ćwierci:
My chcemy śmierci,
my żądamy śmierci!

A chłopiec zatapiał oczy
w haftach skrzydeł,
Rad, że te okazy wpadły
mu do sideł —
I skarg nie słuchał!

Cierpiały więc motyle
w kolącej agonji.

Aż raz, o północy
Księżyc litośnie spojrzał
Na mękę motyli
I próchnem rozpylił
Pokój, a ściany
Wyłożył tapetą
O srebrzystych łuskach
I motyle
Muskał — muskał — muskał...
A potem bladą poruszył wargą:
Wstańcie
Z męczeńskiego letargu:
I rzućcie szpilek igliwie —
Teraz umrzecie prawdziwie!



Leon Wyczółkowski „Poranek" (tusz)

Wtem mróz na szybach
jak święty wiatyk
Położył białe i zimne kwiaty!...

A motyle zadrżały,
Skrzydełkami zatrzepotały
I frunęły...
Wzbiły się w górę rusałki, niepylaki,
Pazie, tęczniki, złotawce i mieniaki.

Zawisły w górze pod sufitem,
Migocąc złotem i błękitem —
I na krasny dywan, jak na łąkę
Sypały mąkę..

A potem
Podfrunęły do okna
I przywarły do szyby,
Jakgdyby
Do klombu.

A kwiaty były białe
I liście też!...

Przywarły
I przylepiły się
do szklanych kwiatów
I lodu —
I drżały
I dygotały
Z zimna i chłodu —
I nektar ssały
I zimno piły,
A gasły im ócz bańki
I stygły żyły...

A potem,
W drgawkach potrzęsły nóżkami
I różkami —
Skrzydełkami
Trzepnęły,
Oczy rozwarły
I zmarły!...

A księżyc patrzący
Na ich śmierć prawdziwą,
Przysłonił źrenice
W płaczące szkliwo!...

DR. LEON KOCZY (Uniw. Pozn.):

STANOWISKO NAUKI HISTORYCZNEJ WOBEC ZIEM ZACHODNICH

Nie ulega wątpliwości, że z nastaniem Polski ziemie zachodnie, w ich rzędzie na pierwszem miejscu Pomorze stały się szczególnie popularne wśród naszego społeczeństwa. Wcielone do macierzy, były one równocześnie i są po dziś dzień przedmiotem troskliwości ze strony nauki polskiej zwłaszcza historji. Byłoby obłudą, gdybyśmy twierdzili, że na ten stan rzeczy nie wpłynęła polityka i zagadnienia dnia bieżącego, ale większym jeszcze błędem byłoby mniemanie, że nauka podporządkowała tu swe metody, zadania i cele polityce i że stanęła na usługach taniego patrjotyzmu i szumnej propagandy.

Historyk zapatrzony w przeszłość i polityk, spoglądający ku przyszłości, wreszcie dziennikarz żyjący rozgwarem i wypadkami dnia codziennego — wszyscy oni pracowali od samego początku obok siebie ale tylko ci dwaj ostatni byli w zależności od historyka.

Przed wojną obowiązki nauki polskiej wobec ziem zachodnich ciążyły na nielicznych zakładach w rodzaju Towarzystwa Naukowego w Toruniu i Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, z których każde wzięło w swą pieczę odpowiednią dzielnicę. Śląsk był kopciuszkiem i nie miał żadnej schedy naukowej, dlatego też zaniedbania w tej dzielnicy w dziedzinie nauki są tak dotkliwe. Po wojnie rzeczy zmieniły się znacznie. Stare towarzystwa pozostały, ale równocześnie powstały nowe, te zaś jak i tamte podporządkować się musiały kierunkom i celom wytkniętym przez założony w roku 1918 Uniwersytet Poznański.

Nowych towarzystw, które powstały tuż po wojnie, albo w ostatnich latach, a które mogą się poszczycić znacznemi wynikami jest sporo. Najstarsze pośród nich jest Towarzystwo Miłośników Historji w Poznaniu, niedawno obchodzące dziesięciolecie swego istnienia. Założone w ciężkich czasach wystawiło na próbę ofiarność społeczeństwa i nie zawiodło się, przetrwało kryzys i rozwija się nadal bardzo pomyślnie. Właśnie ukazał się tom IX pisma tegoż Towarzystwa — Roczniki Historyczne — niewspółmiernie obszernego w stosunku do ciężkich, jak wiemy, czasów. Zeszyt pierwszy tomu X jest już pod prasą. Redaktorami pisma tego są profesor historji średniowiecznej U. P. Kazimierz Tymieniecki i dyrektor Archiwum Państwowego w Poznaniu Kazimierz Kaczmarczyk. Ubliżylibyśmy niestrudzonemu sekretarzowi redakcyjnemu dr. J. Staszewskiemu, gdybyśmy go nie wymienili w tem miejscu. Wobec ziem zachodnich spełniło to Towarzystwo chlubnie swe obowiązki. W każdym tomie roczników ukazują się rozprawy o Śląsku, Wielkopolsce i Pomorzu, wobec tej ostatniej ziemi zasłużyło się ono w tem jeszcze, że wydało w języku angielskim historję polskiego Pomorza (History of Polish Pomerania ed. by K. Tymieniecki Poznań 1929 str. 181).

Znacznie szerszy zasiąg badań ma Intytut Zachodnio Słowiański przy Uniwersytecie Poznańskim. Popiera on i kieruje pracami językoznawczemi, historycznemi, a ostatnio powiększył się nawet o nowy dział etnologji. Zakład ten kierowany przez prof. U. P. Mikołaja Rudnickiego wydaje pismo pt. Slavia Occidentalis (redaktor naczelny prof. M. Rudnicki), w którym pomieszczone są prace pisane z całej Polski. Instytut Zachodnio Słowiański wymienia pismo swe ze 150 towarzystwami naukowemi z całej Europy, stąd też dorobek naszych uczonych rozchodzi się daleko poza granice Polski.

Do Towarzystw, które mają już dziś wybitne zasługi naukowe a oprócz tego spełniają pewną rolę społeczną należy Instytut Bałtycki i Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku. Pierwszy z siedzibą w Toruniu i prowadzony przez dzielnego dyrektora J. Borowika popiera i krzewi badania pomorskie i morskie. Szereg wydawnictw tego Instytutu, także w językach obcych, stanowi znakomitą przeciwwagę niemieckiej literaturze „pomorzoznawczej", która rozchodzi się po całym świecie i wyrządza nam wiele szkody. Podobne zadanie spełnia także gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki pod kierownictwem Marcina Dragana i nieznużonego a energicznego Adama Czartkowskiego, profesorów tamtejszego polskiego gimnazjum. Towarzystwo wydało sześć tomów Rocznika Gdańskiego i szereg publikacyj oddzielnych, ostatnio zaś powzięło może zbyt śmiałą myśl wydania Pomników Morskich Rzeczpospolitej Polskiej (Monumenta Poloniae Maritima).

Stare instytucje jak Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu i Towarzystwo Naukowe w Toruniu cieszą się nadal otiarnością społeczeństwa dzięki poparciu władz państwowych rozwinęły się jednak znacznie, co się objawiło w rozroście naukowo-organizacyjnym i ruchu wydawniczym.

Niepodobna w krótkim zarysie wchodzić w szczegóły. Ogólnie biorąc nauka historyczna spełniła w wolnej Ojczyźnie swoje zadania wobec kresowych ziem zachodnich i spełniać je będzie nadal. Nie stoimy zresztą w miejscu a idziemy naprzód. Już i na Śląsku krzewi się ruch pod opiekuńczemi skrzydłami wszechnicy krakowskiej i da Bóg rozwijać się będzie również pomyślnie jak w Wielkopolsce i na Pomorzu. Widomem tego świadectwem jest potężne przez Polską Akademję Umiejętności wydane dzieło o Śląsku, jako też zakładający się właśnie Instytut Śląski.

ANIELA KOEHLERÓWNA:

GALERJA OBRAZÓW IM. MIELŻYŃSKICH W POZNANIU

Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk powstało 1857 roku, lecz narodziny Galerji, tak dzisiaj cennej dla historji malarstwa polskiego, przypadają na rok 1870. Właściwym jej założycielem był Seweryn hrabia Mielżyński.

Niezwykła to postać tego mecenasa sztuk pięknych na ziemi wielkopolskiej. Rozmiłowany w sztuce, był nietylko przyjacielem i opiekunem artystów i poetów, lecz sam był artystą malarzem o wybitnym talencie. Urodzony w Poznaniu 1804 roku, uczestniczył w Powstaniu Listopadowem. Skazany na wygnanie przebywał kilka lat zagranicą kształcąc się w malarstwie. W Paryżu 1839 narysował portret towarzysza broni, porucznika jazdy poznańskiej, Ignacego Danysza, obecnie w posiadaniu pani Michaliny z Danyszów Motty w Poznaniu. Powróciwszy do kraju osiadł w Miłosławiu w powiecie wrzesińskim, hojnie szafując majątkiem na cele społeczne i narodowe, pod gościnny zawsze dach miłosławski przygarniając ludzi pędzla i pióra.

Ulubieńcem jego domu był malarz i literat, Leon Kapliński, który zawód artysty rozpoczął pod kierunkiem Mielżyńskiego i zdobył sobie imię jako portrecista.

W wolnych chwilach od zajęć społecznych oddawał się Mielżyński ukochanej sztuce. Pozostawił też szereg obrazów olejnych, rysunków i szkiców. Obrazy jego: Sen księcia Sanguszki w kopalniach Sybiru i Kazanie Chrystusa cieszyły się niegdyś nawet popularnością. Motty w swych „Przechadzkach po Poznaniu" wspomina, że spotykało się je sztychowane po domach polskich. Zajmował się również architekturą i podług własnych planów przebudował pałac miłosławski, a także kościół katolicki, protestancki, synagogę, ochronkę dla dzieci i szkołę miejską w Miłosławiu.

Zmarł 1872 roku. Na dwa lata przed śmiercią ofiarował Poznańskiemu Tow. Przyjaciół Nauk cenną swą galerję miłosławską oraz nabyty od barona Rastawieckiego zbiór obrazów mistrzów polskich. Nie dość na tem; zakupił jeszcze dom i grunt pod budowę przyszłego muzeum.

Przykład Mielżyńskiego pobudził innych ofiarodawców. Rodzina Piotrowskich darowała obrazy pędzla Maksymiljana Antoniego Piotrowskiego, hrabia Stefan Cieciersk ofiarował kilkadziesiąt płócien, pani Karśnicka siedemnaście obrazów. Galerja rośnie i dzięki swemu założycielowi w roku 1888 otwiera salony przebudowane na ten cel

Z uznaniem dla mistrzów obcych: holenderskich, włoskich, francuskich, niemieckich, jakich posiada w swych zbiorach, Towarzystwo Przyjaciół Nauk, jako ognisko kultury polskiej, dąży jednakże do stworzenia w pierwszym rzędzie galerji artystów polskich, aby dać pogląd na „historyczny rozwój malarstwa polskiego od czasów Stanisława Augusta, aż do rozkwitu naszej dzisiejszej sztuki". — W tym celu zwraca się o poparcie do społeczeństwa i do samych artystów. W odpowiedzi płyną hojnie dary, artyści, jak Juljusz Kossak, Wojciech Gerson, Michał Wywiórski, Myrton - Michalski, Męcina Krzesz i inni nadsyłają swe dzieła. Galerja powiększa się stale i okazuje się znowu potrzeba przebudowy gmachu. W roku 1908 staje budynek obecny.

Podczas Wielkiej Wojny w opiece nad Galerją dopomagało Towarzystwo Muzealne a „Grono księży miłośników sztuki polskiej" nabyło kilka obrazów. W roku 1922 oddano dwieście obrazów, między nimi Bacciarellich w depozyt do Muzeum Wielkopolskiego a samą Galerję z powodów trudności finansowych zamknięto na lat dziesięć. Od grudnia 1932 roku jest znów otwartą dla publiczności i choć mieści się tylko w dwuch salach i zawiera część tylko dawnych zbiorów, przedstawia się okazale i szczyci się szeregiem cennych płócien. Są dzieła: Lessera, Brodowskiego, Vogla, Suchodolskiego, Smuglewicza, Orłowskiego, Julj. Kossaka, Józefa Brandta, Anny Bilińskiej, Maksymiljana Piotrowskiego, Pochwalskiego, Postempskiego, Malczewskiego, Matejki „Założenie Akademji Lubrońskich" w Poznaniu i tyle innych. Jest portret szlachetnego fundatora Galerji, Seweryna Mielżyńskiego, pędzla Leona Kaplińskiego. Są tak cenne dla historji malarstwa regjonalnego dzieła malarzy wielkopolskich, jak Jana Gładysza, Stanisława Łukomskiego, Fabjana Sarneckiego i Marjana Jaroczyńskiego z urodzenia Toruńszczanina wprawdzie, lecz w Poznaniu osiadłego i zmarłego.

Po za działem obrazów jest zbiór miniatur, również dział rzeźby, choć nie tak bogaty, reprezentowany przez Brodzkiego, Sosnowskiego, Marcinkowskiego i Franciszka Flauma. Dział graficzny szczyci się za to bogatym zasobem szkiców, rysunków, litografji i sztychów.

Pierwszym konserwatorem Galerji był Hieronim Feldmanowski, jego następcami: Klemens Kantecki, Dr. Bolesław Erzepki, ks. prof. Dettloff. Obecnie kustoszką jest p. Dr. Joanna Eckhardtówna, która czuwa troskliwie nad powierzonemi jej pieczy skarbami, z gabinetu grafiki wydobywa nieznane szerszej publiczności materjały, urządza wystawy. W zimowych miesiącach była wystawa rysunków i szkiców Seweryna Mielżyńskiego, obecnie otworzona wystawa prac graficznych również artystów wielkopolskich: Fabjana Sarneckiego, Mielcarzewiczów i Marjana Jaroczyńskiego.

Galerja Tow. Przyjaciół Nauk powstała dzięki hojności kulturalnych jednostek i utrzymana ofiarnością całego społeczeństwa świadczy, że sztuki piękne — wbrew nieraz krzywdzącym i płytkim sądom — miały na ziemi wielkopolskiej swych miłośników i wyznawców.

FRANCISZEK GROTT:

ŚWIT W MIASTECZKU

Człowiek oczy przetarł i sen odwalił.
Dzień się wpiera w okno bladością szyb.
W śnieg i w ciszę się wtapia — w dali, w dali — —
Ciężkiego wozu kół krzyczących skrzyp.

Na pierwszem piętrze zatupotał sąsiad,
Przemknął samochód w zaszumieniu kół
I świt na niebie cały stanął w ponsach,
Jak na „Jasełkach" -- w sali, Heród — król.

Z szarej ulicy przelewa się w pokój
Jazgot blaszanek, jak przez sen, przez sen — — —
I coraz więcej w bruk wbija się kroków,
I coraz większy, bielszy wstaje dzień.

PRZYBYSZEWSKI W WĄGRÓWCU I BERLINIE

DWA LISTY

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku na posiedzeniu z dnia 1. marca r. b. postanowiło wydać w opracowaniu niżej podpisanego komplet korespondencji Stanisława Przybyszewskiego. Zbiór wynosi dotąd 750 (siedemsetpięćdziesiąt) pozycyj. Wydawnictwo zdąża do możliwie wyczerpującego zgromadzenia i monumentalnego opublikowania materjałów. Praca obliczona jest na 40 arkuszy druku, otrzyma zasiłek warszawskich władz centralnych, częściowo zaś oprze się na subskrypcji. Stanowić ona będzie najobfitszy po wojnie materjał epistolarny. Działy niemiecki i czeski ukażą się w osobnych przedrukach. Posiadaczy listów, tak licznych na terenie Wielkopolski, wzywa Tow. Przyj. N. i Szt. w Gdańsku oraz niżej podpisany o nadsyłanie autografów lub odpisów do siedziby Tow.: Gdańsk, gmach gimnazjum polskiego — Am weissen Turm 1, lub: Warszawa, ul. Grottgera 19—13.

Poniżej podajemy 2 listy ze zbioru, zachowując komentarze i przypisy do wydania zbiorowego. Wiciom przypada zaszczyt pierwodruku.

Dr. Stanisław Helsztyński.

I.

Wągrówiec 5 Maja 1886.

Drodzy Rodzice!

Jestem w przykrem położeniu — nie wiem co począć. — Z Poznania pieniędzy nie przesyłają dotychczas; stypendyum rządowe jeszcze mnie nie doszło, gdyż jakieś konferencyje się jeszcze nie odbyły — wolnego szkólnego nie dostałem, bo dyrektor powiedział, że wolnego miejsca niema, gdyż zajęli je synowie profesorów — nie wiem, co tu robić! — książki ani jednej nie mam, profesorowie się gniewają — wyzywają — koniecznie na razie pieniędzy potrzebuję, przynajmniej na szkólne, bo podług nowych praw długo im czekać nie wolno i chociaż parę marek na książki, z resztą sobie radę dam, bo stypendyum, jak mnie dyrektor zapewniał, dostanę w środku, albo na końcu Maja, dostanę — a z Poznania też przyszlą, bo cenzura była bardzo dobra, a oni pewno jeszcze sesye mają. — Tak zresztą nic nowego nie słychać, nauka idzie jak to na początku kwartału, wezwyczajanie się w nowy rozkład, przytem wiele zadań, wiele pracy... Im dalej w las, tem więcej drzewa... zaś w prymie będzie jeszcze więcej, a do prymy tylko krok... Wprawdzie ciężko mi bardzo z temi lekcyami, i Wam też trudno jeszcze płacić, ale mój Boże, cóż począć? Sami drodzy Rodzice, uważacie, że teraz nauk przerywać nie mogę, bo do wszystkiego innego jestem zupełnie niezdatny, a zresztą przebywszy już 5 lat w gimnazjum, to te trzy do ukończenia też przebędę... Z panią Choynacką zrobiłem kontrakt formalny na rok ten, promocye wszyscy moi uczniowie dostali, jeden nawet z premją — (było ich pięciu) dwóch do niższej tercyi, jeden do kwarty, jeden do kwinty, — a tego piątego przysposobiłem do seksty, egzamin mu się szczęśliwie powiódł, co mnie bardzo ucieszyło, bo przyszedłem w renomę bardzo dobrego korepetytora. — Wziąłem teraz lekcyje na fortepian, aby przynajmniej na podróż i inne drobnostki sobie zarobić. — Ciężko mi prawda straszliwie z temi nieznośnemi lekcyami, ale jak się już tak do jarzma włoży, to się i ciągnie. Kończę ten list, prosząc raz jeszcze usilnie o jaknajprędsze przesłanie szkólnego i choć parę marek na książki, zaś ojcu z stypendyum rządowego oddamy. Całując Rodzicom rączki, ściskam rodzeństwo i pozostaję

przywiązanym synem

St. Przybyszewski.

II.

Berlin d. 24 listopada 1891.

Najdroższi Rodzice!

Właśnie odebrałem list Mamuchny i pośpieszam z odpowiedzią.— Cieszy mnie bardzo, że się do Wągrowca przeprowadzimy i to przedewszystkiem ze względu na Leona. — Można go oddać do gimnazyum, szkólne za niego tymczasem zapłacę, a zresztą w Wągrowcu nie tak trudno się przez gimnazjum przedostać, fundusz Musolffa też łatwo dostać może, a potem za trzy lata to już będę samodzielny, więc go już całkiem sam utrzymam, Leon za słaby na rzemieślnika. zresztą do rzemiosła wcale niezdatny, być nauczycielem wiejskim to lepiej iść świnie paść, a tak to ma wszelki wybór, nie to, to owo. —

Ja ze sobą nie będę miał tak wiele do czynienia, żenić się nie myślę, więc o Leonie z przyjemnością radzić będę. — Niech mi tylko mamuchna napisze jaki Leon stary; gdyby go tak mógł kto przysposobić, żeby się zaraz do kwinty dostał. — Jak się Rodzice na tę sprawę zapatrują. — Kiedy mamuchna jedzie do Wągrowca?

Krajanie się już dawno rozpoczęło, rzezam i kraje aż mi się ciepło i gorąco robi, bo mało trupów, więc starzeją się i śmierdzą niemożliwie. Influenza okropnie tu grasuje — miałem ją sam, ale zaraz zapobiegłem i po tygodniu już byłem zdrów. Mamy znakomitą receptę — jaką tu w klinikach używająż—apobiega onaprzedewszystkiem przykrym następstwom, jakie się zwykle po influenzy okazują, jako zapalenie płuc, tyfus itd. Radziłbym mamuchnie, teraz się jeszcze bardzo ciepło trzymać i nie wychodzić, niech mamuchna czasami tylko do Góry nie chodzi. — Są przypadki, że influenza już całkiem ustanie, a jeżeli się za rychło wyjdzie, to znów recydywa nastąpi i to zwykle z zapaleniem płuc skomplikowana.

Cieszę się bardzo, że o Michale mogę dobre wieści — — —

* * *

(Koniec listu nie dochował się. S. H.)

JULJAN SZPUNAR:

Z NIEWYZWOLONYCH REJONÓW

„Wici" ograniczyły swą działalność wyłącznie do poruszania zagadnień regjonalnych w granicach politycznych Państwa Polskiego a przekroczyły jedynie słupy zaborcze w kierunku Kalisza. Czy to ścieśnianie Wielkopolski, ściślej mówiąc, byłego zaboru pruskiego (z wyłączeniem odrębnego Pomorza), jest celowe i pożądane? Zdaje mi się, że nie. „Wici" powinny pójść dalej, rozejrzeć się bliżej w pasie pogranicznym i pisać o takiej Pile, Lignicy, Międzyrzeczu, Paradyżu, Byczynie, Głogowej, Kluczborku, Oleśnicy i legjonie innych, tysiącznemi węzły z Rzeczypospolitą złączonych osiedli. Musimy gotować grunt pod przyszłe czasy i uświadamiać się wzajem o jednej, wielkiej prawdzie, że Ojczyzna nasza jest daleko większa, niźli ta, jaką zakreślił Traktat Wersalski, czy boje o Wilno i Śląsk.

Jeśli Redakcja podzieli mój kąt widzenia, to niezawodnie wydrukuje mój pierwszy z tego cyklu artykuł o Wschowie a następne posypią się jak z rękawa, gdyż wielu z nas przechowuje bezużytecznie cenne informacje z niewyzwolonych ziem, tak potrzebne dla rozszerzenia i pogłębienia naszej wiedzy o Polsce zakordonowej.

Niedawno udało mi się wyjechać z leszczyńskim Klubem Sportowym „Polonią" do Wschowy (18 km na zachód) na zawody z tamtejszym Klubem „Schwarz-Weiss". Paliłem się dawno do tej wycieczki i przewertowałem różne, dostępne mi na miejscu źródła, by nie chodzić pomacku i nie pytać się niepowołanych objaśniaczy.

Wschowa, którą Niemcy, niewiadomo z jakiego powodu nazwali Fraustadtem, jest miastem b. starem, gdzie już w XIII. stuleciu osiedlili się masowo koloniści niemieccy, nadając temu osiedlu swoisty charakter, który utrzymał się niezmiennie do rozbiorów Rzeczypospolitej. Marcin Bielski (1495 — 1575) nazywa ją Wszową (Kronika świata), co etymologicznie wywodzi się niewątpliwie od wszy. Wschowa wchodziła niegdyś w skład Księstwa Głogowskiego i razem z niem dostała się pod panowanie czeskie (XIV. w.) i dopiero roztropna polityka ostatniego Piasta przywróciła ją Polsce zpowrotem. Książęta głogowscy nadali miastu rentowny przywilej bicia monety, dzięki czemu mennica Tynfa, gdzie bito dutki i tynfy cieszyła się ongi wielką popularnością. Stąd pochodzi znane powiedzenie: „Dobry żart, tynfa wart". W r. 1422 Maciej Strączek z Osieczny pod Lesznem, rządca miasta i twierdzy, przysiągł to miasto zachować dla synów Władysława Jagiełły.

Było to miasto zamożne, uprzemysłowione i handlowe. Prowadziło ożywiony handel zbożem, bydłem, wełną, suknem i płótnem. Kwitnął

tu przemysł gorzelniany i garbarski a liczne fabryki i młyny wietrzne stały się źródłem bogactwa mieszkańców. W r. 1552 przyjęło miasto religję ewangelicką w latach 1590—1627 działał tu piórem i słowem wybitny teolog protestancki, Walery Herberger. W XVII. w. osiedlili się tutaj bernardyni i jezuici, krzewiąc z poważnym skutkiem katolicyzm, utrzymujący się do dzisiaj w pokaźnej liczbie wiernych, bo około 4000 na 5000 ewangelików. W r. 1706 odnieśli pod Wschową zwycięstwo Szwedzi (gen. Rennschild) nad połączonemi armjami Sasów i Moskali, co otworzyło drogę na tron królewski Stanisławowi Leszczyńskiemu. Po rozbiorach Wschowa była największem po Poznaniu miastem w Wielkopolsce a mimo germanizacji i srogiego ucisku, Polacy trzymają się jeszcze tu i ówdzie do dzisiaj, zwłaszcza w Schlichtyngowie, w Geyersdorfie (Sępolno?) i innych pobliskich wioskach.

Obecnie jest to powiatowe, dziesięciotysięczne miasto, miłe, spokojne, czyste, którego ozdobą są planty, założone w r. 1872 na miejscu dawnych murów obronnych i fos. Tu stoi między innemi w wyzywającej pozie pomnik żołnierza niemieckiego z takim oto napisem: „Wanderer, verweile in Andacht und künde zu Hause, wie wir als Männer gefallen in Treue zur Heimat". W każdym niemal sklepie widnieją takie wezwania: „Der Deutsche grüsst nur — Heil Hitler!".

Ogromna ilość polskich nazwisk na wywieszkach, tu i ówdzie szeptem prowadzone rozmowy, oraz sarmackie oblicza przechodniów, świadczą aż nadto wymownie o polityce eksterminacyjnej rządu pruskiego w stosunku do naszych braci. Mimo skrzętnego zacierania wszelkich śladów polskości, dowodów związku miasta z Rzeczypospo itą jeszcze sporo. Herb miasta stanowi krzyż jagielloński a w kościele franciszkańskim spotkałem szereg tablic pamiątkowych sławnego niegdyś rodu Gurowskich, natomiast z kościoła farnego usunięto tablicę ku czci zacnego proboszcza ks. Pogalińskiego z r. 1786.

Mimo więc pokostu germańskiego, czuje się we Wschowie naszą rodzinną atmosferę a bliskość pulsującego polskością Leszna oddziaływa poważnie na stosunki w tem oderwanem od Polski brutalnie mieście.

Zdaje mi się, że pakt o nieagresji, bardziej korzystny dla Niemców, niż dla nas, powinien spowodować większą, niż dotychczas, penetrację wpływów polskich do tych miejscowości, które prędzej czy później, muszą się znaleźć tam, skąd wyszły, gdzie prawdziwe dzieje, a nie sztuczna, na przemocy oparta polityka, rzeźbiły cierpliwe ich fizjognomje.

Czekam z niecierpliwością dalszych w tym kierunku na łamach „Wici" wynurzeń, obrazów i wskazań.

ALFRED JESIONOWSKI:

„WSZYSTKICH WAS SERCEM OBDZIELĘ"

(O JANIE SZTAUDYNGERZE)

IV. PRZEPIERKA

Tak po prawdzie niema Sztaudynger nic o sobie z bojownika, przeciwnie, robi wrażenie beztroskiego chłoptaska, dla którego przeciwności losu, niepowodzenia, zmartwienia są brzydką niespodzianką, nagłą ulewą na wesołej majówce. Ale ma coś, co wogóle cechuje młode pokolenie o pewnych ustalonych ideałach czy zdrowych instynktach: jest szczery i impulsywny. Śmiał zaryzykować twierdzenie, że w życiu Sztaudyngera impuls odgrywa wogóle ważną rolę. To też, gdy się nadarzy okazja, rąbie odważnie, co o czem, o kim myśli. Z jakiej wewnętrznej potrzeby zrodziła się „Rzeź na Parnasie"?[1]) Zapewne trochę z przekory i żartu, a także z chęci wypowiedzenia się w materji zawsze aktualnej. Zbiorku poezyj o wybitnych naszych twórcach nie możnaby nazwać rewizją poglądów — na to wiersze są za krótkie i zbyt bezpretensjonalne, brak im także wszelkiej rewolucyjności, ale są one znamiennym głosem młodego pokolenia. Z jednej rzeczy prawdopodobnie nie zdawał sobie poeta sprawy: że ten kij wsadzony wmrowisko ściągnie na niego niechęć klik i kliczek literackich. Niechby no taki tom przepysznych, pełnych młodzieńczego dowcipu wierszy się był ukazał w Warszawie — tożby dopiero huczało w Ips'ach i Ziemiańskich! Tomik wyrywanoby sobie z rąk. „Wiadomości Literackie" nie byłyby o nim pisały, recenzenci delektowaliby się nim po cichu, ale głośno? — ani mru-mru! Jakże! O Słonimskim dużo przykrej prawdy — o Wiklinie — taki oto wierszyk:

„Kasprowicz i pacyfizm!
 sławy Twojej szczudła,
Jeden zmarł, a drugi pochowałeś wczora,
Poco zatem przeora gdy niema klasztora,
Rola Twoja skończona —
 maszeruj do pudła!"

To znów mocna szpila wsadzona Mortkowiczównie: Nic nie pomogło Sztaudyngerowi, że przesolił w przechwałach Tuwima. Zbiorek wierszy pt. „Rzeź na Parnasie" zgodnie przemilczono.

Postawa krytyczna Sztaudyngera nie jest wyłącznie satyryczna, nie wszystkie wiersze nastrojone są na tę nutę co wiersz o Boy'u lub o Wielopolskiej. (Nie mogę sobie odmówić przyjemności, by wiersze o Jehannie nie zacytować:

Królowo Polska
I Wielkopolska
CLociu z wąsami,
Módl się za nami.
Przedpotopowe arko,
Wieczystą bądź bajczarką
Wieżo z kości mamuta,
Żyj w słowa suta.
Zwierciadło małpiej złości,
Łam bliźnim kości.
Wszędzie po trosze,
Wsadzaj trzy grosze,
I w cudzych duszach
gub swe kalosze!

Tylko w ramki ten portret.)

Z dużą intuicją i wielką trafnością sądu, a niejednokrotnie wręcz proroczo, wypadły portrety rozmaitych wielkości. Na właściwem miejscu usadził Sztaudynger np. Gałuszkę, Kurka, Bandrowskiego Kadena, Makuszyńskiego, Ossendowskiego. Na dobre dwa lata przed procesem o Norwida w związku z Mirjamem wołał Sztaudynger:

Nie wiem, czy to co pomoże,
Czy to się na co przyda,
Smutno mi Boże,
Oddaj Norwida.

Przychodzę w szczerej pokorze,
Serdeczna bez niego bieda,
Smutno mi Boże,
Oddaj Norwida.

Wstrzymałeś na niebie zorze,
Lenin, w stroju druida,
Gorze, gorze, gorze,
Oddaj Norwida.

Ale nie zawsze zgodzimy się z poetą w jego sądzie. Przykry, powiedziałbym wręcz niekulturalny jest wiersz o Ejsmondzie! Krzywdę uczynił swoim sądem poeta Goetlowi, Miłaszewskiemu, Strugowi, Grzymale-Siedleckiemu i kilku innym pisarzom, podobnie, sumarycznie biorąc sądy o kobietach — literatkach wypadły mało odpowiedzialnie.

Jeśli to podnoszę, to dlatego, że dla mnie „Rzeź na Parnasie" — nie jest wyłącznie wypływem dobrego humoru, igraszką — poetycką jedynie, czuję, że poeta *chciał* wydać *sąd*, swój subjektywny sąd, ale maskował go żartem, przyczem zdarzyło się strunę przeciągnąć tu i ówdzie.

---

[1]) Jan Sztaudynger: Rzeź na Parnasie. — Poznań 1931. Drukarnia Mieszczańska, str. 87.

„Rzeź na Parnasie“ jest dla twórczości Sztaudyngera utworem charakterystycznym, uwydatnia wszystkie jego zalety poetyckie: więc łatwość i zręczność doboru rymu i rytmu, szczerość i odwagę, oryginalność formy i koncepcji, — ale uwydatnia także jego niedomagania: zbytnią lekkość w traktowaniu tematu, nieumiejętność utrzymania pewnych granic, zbytnią ufność w atrakcyjność formy. Musiał poeta sobie zdawać z tego sprawę, gdyż następny tomik poezyj, także o ludziach, twórcach ma charakter zupełnie inny. „Ludzie“[2]) są jakby dowodem, że poeta umie patrzeć na twórców także okiem poważnem.

V. „LUDZIE“

Na zbiorek poezyj pod powyższym tytułem złożyły się wiersze napisane w ciągu kilku lat pod wpływem bezpośrednich wzruszeń lub doznań artystycznych. Cechuje je subtelność, nadzwyczaj czuła wrażliwość i zdumiewająca intuicja psychologiczna, dzięki której poeta wydobywa najbardziej charakterystyczne cechy czy to twórczości czy duszy opiewanych postaci. Czyż lepiej było można ująć wielkość artystyczną Wysockiej, tragizm posłannictwa — artysty scenicznego, jak określeniem, które Sztaudynger dla niej znalazł?

„Ona mogąc być „wszystkiemi“
dziś już „sobą“ być nie może,
„Zagubiła się w swej duszy jak w swych
włosów ciemnym borze,
„Już się cudzym głosem modli,
cudzym głosem z siebie woła...“

Czy stwarza widzenie artystyczne Solskich, Malczewskiego, Rostworowskiego, Wyczółkowskiego, Hofmanna — czy dopomina się o naprawienie krzywdy wyrządzonej Garczyńskiemu przez potomność, czy odtwarza do Marsza żałobnego Chopina imaginacyjny dramat pełen plastycznych wizyj i głęboko odczutego bólu rozstania, czy przeciwstawia sztukę „która była“ — sztuce „która stać się ma“ (Feliks Jasieński), wszędzie triumfuje nadzwyczajny umiar artystyczny, pełnia przeżycia i odczuwania, śmiałość, trafność i oryginalność porównań i określeń. Do postaci przez się opiewanych zbliżył się Sztaudynger nietylko z gorącym entuzjazmem ale i religijną czcią, z świadomością, że mówi o czemś istotnie wielkiem.

I tak staje się ten ostatni z drukowanych zbiorków poezyj, może właśnie dlatego, że złożyły się nań wiersze z kilku lat, utworem najdojrzalszym, najpełniejszym.

VI. ZAKOŃCZENIE

Wypada, aby w zakończeniu dać autorowi, którego twórczość się omówiło, kilka dobrych rad, przestróg i t. p. Otóż tego nie uczynię. Nie zabawiłem się w krytyka — bo w tym charakterze był bym szczególnie à propos „Ludzi“ i „zaczi“ miał do powiedzenia kilka uwag nieosobistych, odnoszących się do pewnych problemów i ujmowania zagadnień, które w ujęciu Sztaudyngera napewno sprowokują niejednego czytelnika do sprzeciwu lub dyskusji. Nie będę również próbował syntetuzować — bo zdaje mi się, że na to jeszcze za wcześaie. Wierzę, że jakieś wielkie przeżycie duchowe poety da nam utwór, który odsłoni nam Sztaudyngera pełnego poetę, który nic nie stracił z swej szczerości, świeżości, pogody i jasności — ale który zyskał na głębi, utwór, który sprawdzi przewidywania i życzenia dotychczasowych krytyków poety, że Sztaudynger wnosi nowe, świeże powiewy w nasze życie duchowe, którego wyrazem jest literatura, utwór, który głębię wzruszeń i wyrazem ich doznań stawi Sztaudyngera, na miejscu, które mu się w literaturze należy i wśród poetów wybitnie utalentowanych.

[2]) Jan Sztaudynger: Ludzie. — Poznań 1931. Drukarnia Mieszczańska, str. 28.

W SPRAWIE WYDANIA KORESPONDENCJI STANISŁAWA PRZYBYSZEWSKIEGO

Towarzystwo Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku postanowiło uczcić 10-ą rocznicę wyjazdu Stanisława Przybyszewskiego z Gdańska, gdzie spędził, według własnych słów, „cztery lata jedyne, w których nie potrzebował życia przeklinać“ i gdzie położył wielkie zasługi przez przyczynienie się do otwarcia Gimnazjum Polskiego, — wydaniem zbioru jego korespondencji.

Opracowania tego wydawnictwa podjął się dr. Stanisław Helsztyński z Warszawy, który do obecnej chwili zgromadził już przeszło 1000 listów Stanisława Przybyszewskiego z lat 1882—1927.

Ponieważ i Towarzystwo i Wydywca chcieliby zebrać, o ile to tylko możliwe, całość korespondencji tego, jednego z zasadniczych filarów Młodej Polski, zwracamy się niniejszem pismem do wszystkich posiadaczy nawet pojedyńczych i najdrobniejszych listów Stanisława Przybyszewskiego — z uprzejmą prośbą o nadesłanie bądź oryginałów tych dokumentów, bądź jak najściślejszych ich odpisów dla zamieszczenia w zamierzonem wydawnictwie, dołączając jednocześnie jak najwięcej objaśnień, odnoszących się do osób, faktów i treści tych listów.

Oryginały natychmiast po odpisaniu zostaną zwrócone właścicielom. Przesyłki dla większej pewności prosimy nadawać jako polecone, adresując je bądź do Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku, Gmach Gimnazjum Polskiego, Am weissen Tumr 1, bądź do dra Stan. Helsztyńskiego, — Warszawa — ul. Grottgera 19, m. 13.

Mamy nadzieję, że P T. Posiadacze listów Stanisława Przybyszewskiego, zważywszy na wielkie znaczenie takiego wydawnictwa nietylko dla życiorysu tego wybitnego pisarza, lecz również dla poznania jednej z epok najbujniejszej twórczości literackiej w Polsce, zechcą łaskawie zadośćuczynić naszej prośbie.

(—) Stanisław Helsztyński
Wydawca
„Listów Stanisława Przybyszewskiego“.

(—) Adam Czartkowski
Sekretarz Zarządu Tow. Przyjaciół
Nauki i Sztuki w Gdańsku.

Warszawa — Gdańsk, dn. 8. maja 1934 r.

Cena: pojedyńczy numer 40 gr. Prenumerata wprost z administracji z przesyłką kwartalnie 1,50 zł, półrocznie 3,00 zł, całorocznie 6,00 zł. Na poczcie tylko kwartalnie zł 1,05.
Do nabycia we wszystkich kioskach „Ruchu“, we wszystkich kioskach gazetowych Poznania i Bydgoszczy, we wszystkich większych księgarniach Wielkopolski. - W Warszawie: Księg. Gustawa Szylinga, ul. Szpitalna 10. - W Krakowie: Księg. D. E. Friedlein.
Redakcja: Poznań, ul. Działyńskich 7. — Przedstawiciel redakcji J. Deresiewicz przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 3—4. — Przedstawiciel redakcji na Warszawę: Dr. St. Helsztyński. ul. Grottgera 19 m. 13 - Tel. 8.45.48.
Korespondencje kierować należy do Administracji i sekretarjatu redakcji: Września, ul. Poznańska 6.
Nakładem i drukiem A. Prądzyńskiego we Wrześni. Konto P. K. O. Poznań № 200.057.